

Przetom

Redaktor:

Dr. Witołd Lewicki.

TREŚĆ:

<i>Dr. Witołd Lewicki:</i> Bańki mydlane	385
<i>Prof. Ludwik Gumplowicz:</i> o sprawie polskiej	396
<i>Stanisław Lewandowski:</i> Głódna sztuka	403
<i>Karol Wróblewski:</i> Współczesne malarstwo angielskie	408
<i>W.: Skrucha</i>	413

Wychodzi co sobotę.

Cena kwartalnie 2 złr. 50 ct., numer pojedynczy 30 ct.



WIEDEN.

Skład główny we Wiedniu w księgarni Wih. Frick. I. Graben Nr. 27
 we Lwowie w księgarni Jakubowskiego & Zadurowicza
 w Krakowie w księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

1895



TREŚĆ dotychczas wydanych zeszytów:

- No. 1. Od redakcyi. — *Dr. T. Rutowski*: Ruch ludowy i stronnictwa narodowe. — *Ks. Dr. A. Kopyciński*: Rola księdza polskiego. — *Prof. A. Wachnianin*: Stronnictwa na Rusi halickiej. — *Prof. Dr. A. Sokolowski*: Uwagi krytyczne nad historją powstania styczniowego. I. — *Dr. Witold Lewicki*: Ad limina Apostolorum.
- No. 2 u. 3. *Stanisław Szczepanowski*: Racyonalizm narodowy. — *Dr. T. Rutowski*: Reforma wyborcza. — Budżet Królestwa Polskiego. I. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Fryderyk Nietzsche. — *Dr. Witold Lewicki*: Francesco Crispi. — *Jan Skrzydlewski*: O ruchu muzycznym we Wiedniu.
- No. 4. Przesilenie w Koalicyi. — *G. Smólski*: Czesko-słowiańska Wystawa etnograficzna. — Budżet Królestwa Polskiego. II. — *Roman Lewandowski*: Salon wiedeński.
- No. 5. Po upadku koalicyi. — *Ks. Dr. Adam Kopyciński*: Jednostka a społeczeństwo. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Monista mistyk. — *Zygmunt Bytkowski*: Maurycy Maeterlinck.
- No. 6. *Dr. Witold Lewicki*: Paszkwilantom. — *Dr. Tadeusz Rutowski*: Fabrykacya opinii krajowej. — *Antoni Fibich*: Ruch chłopski na Mazurach. — *Dr. Zofja D.*: Listy z Niemiec. I.
- No. 7. *St. Szczepanowski*: Sytuacya polityczna w Anstryi. — *Dr. August Sokolowski*: Leliwa. — *Zygmunt Bytkowski*: Intérieur.
- No. 8. Dzień Cylei. — *T. R.*: Ministerstwo Madeyskiego. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Kultura etyczna. — *S. Z. Dański*: Kartka z życia umysłowego Poznania.
- No. 9. *Stanisław Szczepanowski*: Nowe kierunki w prasie „postępowej”. — *Dr. Witold Lewicki*: Stambułow. — *Dr. Anna Wyczółkowska*: O psychologii indywidualno-eksperymentalnej. — *Fraszki Rodocia*. — *Itoman Lewandowski*: Dr. Oscar Bie i wystawy sztuk pięknych. — *M. Wierzbński*: Z salonu londyńskiego. — *Dr. Zofja D.*: Listy z Niemiec. II.
- No 10. Pierwszy strzał. — *Jan Sawa*: Sen Jermaka. — *W. Gedrojć*: Wybory w Anglii. — *S. Z. D.* Listy z Niemiec. III.
- No. 11. *Stanisław Antoni Prus*: Do Redaktora „Przełomu”. — *Dr. Witold Lewicki*: Sejmiki prowincjonalne we Francyi. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Franciszek Brentano a historia filozofii. — *W. Lutosławski*: Tydzień na Oceanie Atlantyckim.
- No. 12. Konfederacya Rzeszowska. — *M. Wierzbński*: Prof. T. H. Huxley. — *W. Lutosławski*: Tydzień na Oceanie Atlantyckim. — *Ludwik Szczepański*: W ramkach z filigranem.

Dla P. T. Duchowieństwa i nauczycielstwa
obniżamy prenumeratę do

połowy

to jest kwartalnie 1 złr. 25 ct., miesięcznie 45 ct.

 Numer niniejszy przesyłamy na okaz z prozbą
o przysłanie prenumeraty, lub zwrot numeru. Nie zwró-
cenie numeru uważać będziemy za przystąpienie do
prenumeraty. 



→: Wiedeń, dnia 11 listopada 1895. ←



Bańki mydlane.

Po katastrofie panamskiej, wśród najwyższego rozgoryczenia, wśród orgii giełdowych oszustw, wśród ohydy gorączki złota, wśród upadku polityków, spekulujących na akcyach Panama z równym zapalem, jak na akcyach powszechnego równego i bezpośredniego głosowania, kiedy każdy dzień, każda godzina przynosiła nowe klęski, nowe upadki i już zdawało się, że uczciwość opuściła ludzi i wróciła do bogów, stary żołnierz legitymista, zagadnięty „co się wśród tych postępów podłości stanie z Francją?” odpowiedział:

— Zginęłaby niechybnie — gdyby nie to, że jeszcze żyje u nas jeden patryota.

— Jakże mu na imię?

— Rozum.

Kiedy hrabia Taaffe pod wpływem podszeptów nienawidzącego nas rycerza z ducha „socialen Königthums“, Dr. Steinbacha, cisnął w świat nieopatrzone w Austrii hasło powszechnego prawa głosowania, zapaliły się u nas w kraju młode i gorące serca do myśli, którą uważano za szczyt postępu i szczęścia ludzkości, a zapal ich potrafiły wyzyskać jako wodę na swój młyn najrozmaitsze indywidua, chcące wszędzie hersztować, którym się przeszły, że to już dla nich kur zapiął i przywidziało się, że to już dla nich świta jutrzeńka — zarobku.

Ambicya rozdmuchwała mnóstwo purchasek poziomych, mnóstwo baniek mydlanych poczęło się unosić nad krajem i rozległ się pewien swąd zdradzający, że ktoś gdzieś ogień podłożył.

Rozpoczęły się jakieś wołania, jakieś podżegania, jakieś huczki poszły po kraju, więc poczęto judzić naprzód przeciw księżom i dworom na wsi, potem przeciw inteligencji i fałszywej demokracji w mieście, a że złym ludziom trudno gęby zawrzeć, więc tych, którzy rozmaitym drobnym zawiściom, poziomym zazdrościom i małym ambicyom najbardziej byli solą w oku, wzięto za cel swych zjadliwych i zatrutych pocisków.

Naprzód trzeba zdyskredytować, zeszkalować i zohydzić tych, którzy dotąd ster spraw publicznych trzymali — potem zająć ich miejsca i mając w garści władzę, prowadzić rzecz według własnego mniemania lub podszeptu nieznanym bliżej Egeryj.

I już widziało się w duchu przed oczyma rozigranej wyobraźni wszystkie splendory i zaszczyty zdobytych dostojęństw, już sprzedawano skórę na niedźwiedziu. Tymczasem niedźwiedź żyw i wcale niema zamiaru dać się wywieść w matnię.

Hr. Taaffe upadł, wszystkie nadzieje, z nowym porządkiem związane, rozwiały się w nic.

Spółceństwo, zaskoczony z nienacka zamiarem pierwszorzędnej doniosłości publicznej poddało idee projektowiczów sumiennej rozwadze. Tu szło o własną skórę, więc nie dziw, że rozprawiano i rozważano żywo i po rozwadze odpowiedziało naprzód włościństwo — a więc „lud“, jak się u nas mówi — quod non. Stronnictwo chłopskie przez usta swych reprezentantów w Sejmie i w Kole Polskiem powiedziało jasno i niedwuznacznie: chcemy bezpośredniości wyborów w naszej kuryi, ale nie chcemy ani zniesienia kuryi, ani powszechnego głosowania.

Inteligencya miejska, mieszczaństwo całe żąda rozszerzenia prawa wyborczego, ale ani chce słyszeć o takim ustroju wyborczym, w którymby niechybnie inteligencya i mieszczaństwo osiadłe, znalazło się w stanowczej i wiecznej mniejszości wobec

żywiółów napływowych. Kto żąda więc u nas w Galicyi powszechnego prawa głosowania?

Żąda zastęp robotników fabrycznych i cała młoda inteligencja. Że robotnicy tego prawa żądają, jest to równie naturalnem, jak to, że żywioly miejskie konserwatywne na to przystać nie mogą.

Dlaczego jednak żąda tego młodzież? Należy uczynić pewne rozgraniczenie duchów. Młodzież ucząca się, wstępując w życie, owiana jest ideałami, w które wierzy, które jej przyświecają, które stanowią najlepszą treść jej myśli i uczuć. Wśród tych ideałów pierwsze miejsce trzyma ideał wolności i ideał równości.

Młodzież wstępująca w życie, musi mieć to przeświadczenie, że w myśl tych ideałów obowiązkiem jej jest zdobywać świat, „ruszyć z posad bryłę świata“ i „nowemi ją pchnąć tory, aż opleśniałej zbywszy się kory, zielone przypomni lata“. Z tą wiarą młodzieńczą wstępuje młodzież najlepsza w życie praktyczne. Z tymi ideałami związuje ruch postępowy w Europie jako niezbędny warunek do ich urzeczywistnienia program demokratyczny, republikański, socyalny, a że tego programu najkonsekwentniejszymi, najgłośniejszymi, a jak dziś najświetniejszymi głosicielami i trybunami są znakomici i utalentowani reprezentanci socyalnej demokracji europejskiej i amerykańskiej, przeto młodzież gorętsza, zacniejsza i zdolniejsza z tym ruchem sympatyzować musi i tak długo sympatyzować będzie, dopóki ideał narodowej i religijnej reformy nie będzie jej podany w równie świetnej formie, z równym zasobem talentu i geniuszu złożony i nie obejmie spuścizny po materialistycznej teoryi socyalnej demokracji.

Życie uczy. Zetknięcie się ze światem rzeczywistym, z jego egoizmem, z jego brzydkimi i smutnymi stronami, z jego hyenami nienawiści, zawiści, zazdrości i niewdzięczności, z jego trywialną, tylko na zysk obliczoną spekulacją, z tym brudem, wśród którego niejednemu ręce opadają i duch się kurczy — ostudza najgorętsze serca i otrzeźwia najzapaleńsze głowy. Ideały powoli znikają wobec ciężkiej prozy życia z jego wszystkimi obowiązkami. Szczęśliwy, kto potrafił uratować

z idealów wszechludzkich, bodaj szczyptę miłości Ojczyzny. A kto potrafił, ten się rozpatrzy w warunkach życia tego narodu, w epoce historycznej, w prądach społecznych, w celach politycznych, w środkach po temu obieranych i już według wyniku swych własnych studyów i rozważań, osądza rzeczy i ludzi i wpływa swem własnem działaniem na bieg wypadków.

Są inisi. Tym się nigdy serce nie ścisnęło na widok nieprawości i krzywdy, tym się nigdy głowa nie paliła ideałami wszechrówności, braterstwa i wolności.

Ci, jak owe płazy w Odzie Mickiewicza, pełzają tam w dole wśród egotycznych dążeń, niskich przedsięwzięć i gminnych pożądań.

I ci, których serce nie zabiło nigdy żywiej, których fantazya nie porywała nigdy „ponad poziomy“, którzy nie pragnęli nigdy niczego nad zaspokojenie żołądka, których umysł nie ulatał nigdy poza koniec ich nosa, ci zjadacze chleba i fabrykanci majątków, — uczuwają nagle łaskotliwe łechcenia idealne, wdziwiają koturny i w imię nigdy nie odczuwanych idealów wolności, równości i braterstwa, w imię tych hasła świętych idą w niekrwawy bój z mocami piekła, odgrywają rolę Katonów i trybunów w miarę „zapotrzebowania“ i „odbytu“.

Każdy śmielszy wzlot myśli, każde ideałami oskrzydłone głębsze uczucie jest tym ludziom nietylko obce, jest im nienawistne. Oni z nieśmiertelnego mytu o Prometeusza, uwieszonym nad urwiskiem kaukaskim, smaganym wichrami wśród pustki górskiej, z tych drogich rysów męczennika ludzkości, co bogom promień niebieskiego ognia uniósł i rzucił ludziom na pożytek, bo tych ludzi kochał, w spuściznie po tej najpiękniejszej fantazyi starożytnych tylko jeden wzięli symbol, Kratosa i Bianta skuwających mu pierś łańcuchami, a w dodatku urągających cierpieniom.

„O fatum“ — można powiedzieć z Eschylosem, który tę nieśmiertelną baśń upoetyzował — „jakże bezsilną jest wobec ciebie wszelka mądrość!“

Kiedy się patrzy na te postępy podłości, które w walce gnomów i liliputów z szermierzami prawdy i ideału tak często

zwycięstwo przechyla ją na szalę głupców, możnaby z Leopardim przedrwiwać tytaniczną walkę Prometeuszów, cierpiących za prawdę, przeciwstawiając jej Epimeteusza, wiecznie wstecz wpatzonego, pierwowzora osła i żaby.

* * *

Z ruchu przedwyborczego obecnej chwili wyłonił się w bieżącym miesiącu zawiązek nowej partii politycznej. Na zebraniu w Rzeszowie utworzono partję ludową, zawiązano komitet centralny przedwyborczy tej partji i ogłoszono program polityczny.

Program ten poddaliśmy ocenie w poprzednim numerze „Przełomu“, a nie nasza wina, jeżeli sąd o nim wypadł ujemnie. Nad faktem utworzenia nowej partji politycznej ludowej chcemy dziś się zastanowić. Nie ulega wątpliwości, że w dzisiejszym stanie bezhołowia politycznego, utworzenie związku ludowego może być etapą na drodze rozwoju politycznego w Galicyi, jak nie może być wątpliwem, że potrzeba szybszego rozwoju włościaństwa polskiego i ruskiego w Galicyi, opartego na postępach oświaty i podniesieniu materyalnego stanu włościaństwa, polepszeniu ich wytwórczości, może być najpotężniejszą dźwignią narodowego uświadomienia i uobywatelnienia włościaństwa. Gdyby partja ludowa pojęła swój obowiązek, nie jako hasło wyborcze, lecz jako pracę wytrwałą i harmonijną ze wszystkimi czynnikami wespół z włościaństwem i obok niego żyjącymi, mógłby ten ruch pehnać nas w rozwoju cywilizacyjnym o całą generacyę naprzód.

Ruch ten musiałby być jednak trwałym, statycznym i wychodzić z głębi samego włościaństwa przy współudziale i współuczestnictwie wszystkich innych czynników narodowych, a więc przede wszystkim nauczycielstwa, duchowieństwa i obywatelstwa. Ruch taki wywołany dla celów partyjnych, a w tych celach wyłącznie dla agitacyi wyborczej pozostać może jednostronny, i nie wypełni zadania, które sam sobie założył.

Ruch ten musi iść również współrzędnie z postęпами oświaty, z umoralnieniem i podźwignięciem ekonomicznem włościaństwa.

Nie można przesądzać przyszłego rozwoju tych usiłowań, ale można i trzeba zaraz przy pierwszym zawiązku zwrócić uwagę na pewne sprzeczności błędy i urojenia, które na karb rozgorączkowania walką wyborczą zapisują. Niemniej jednak na te niedostatki wskazać należy.

Przy każdym nowym kroku politycznym pytam się, czy to działanie nowe przysporzy nam nowych sił narodowych?

Owszem wszyscy czujemy potrzebę powołania najszerszych mas ludowych do współuczestnictwa w życiu narodowym, rozszerzenia podstawy naszego życia obywatelskiego, wydobycia na wierzch najliczniejszych zastępów ludzi z sercem i z umysłem polskim z warstw dotąd jeszcze biernych i martwych, jak rudis indigestaque moles, bo żaden naród nie potrzebuje może większego zasilenia warstwami nowymi, większego dorobku z niw odłogiem leżących, jak naród żyjący w niewoli, w warunkach życia nie normalnego.

Ale nikt bardziej jak my przy każdym przedsięwzięciu rozszerzenia podstawy ludowej nie może ostrożniej baczyć, czy to powiększenie jest tylko materyałem powiększeniem cyfry, czyli też duchowem pogłębieniem organizmu narodowego?

Czy z tego rozszerzenia podstawy ludowej wychodzą hufce narodowe przejęte tym duchem obywatelskim, który w naszym położeniu jest pierwszym i niezbędnym warunkiem zwycięstwa sprawy polskiej? Dlatego cel wytknięty mamy wszyscy jednakowy i stronnictw istniejących w kraju nie możemy osądzać według celów, bo one wszystkim są jedne i wspólne, my musimy stronnictwa z kraju dobywające się na wierzch i politycznie działać zamierzające, sądzić według skuteczności środków, które zalecają do uzyskania tego jednego a największego celu. Ta wspólność celów pozwala zrozumieć zasadę solidarności przyjętej jako podstawę naszego działania na zewnątrz przez reprezentacje polskie w Wiedniu i w Berlinie. Taka solidarność byłaby apostazyą od zasad politycznych, gdyby różnica stronnictw sięgała aż do celów działania politycznego, a nie ograniczała się tylko do różnicy środków. Wobec tego wywoływanie walki klas

musi być dla każdego stronnictwa narodowego wykluczone z rejestru środków agitacji politycznej, ponieważ wywoływanie walki klas jest zbrodnią wobec sprawy narodowej, naruszając tę solidarność, która w położeniu naszego narodu jest dla nas ważniejsza, aniżeli wszelkie jakiegokolwiek zasady polityczne.

I z tego sposobu rozumienia wynika pytanie, jakie wobec t. zw. „stronnictwa ludowego,“ które się na konferencji rzeszowskiej urodziło, postawić musimy.

Więc pytamy przedewszystkiem, co nowego wniosło to stronnictwo w swoim urbi et orbi rozgłoszonym programie? co wzięło od istniejących stronnictw? a wczem przysporzyło nowej myśli?

W poprzednim roztrząśnieniu w Nr. 12 „Przełomu“ wykazaliśmy, że stronnictwo ludowe w swoim programie nie podjęło ani jednej nowej myśli, a to co wypowiedziało, jest tylko zlepkiem zdań i zadań przez wszystkie stronnictwa w kraju dawno już wypowiedzianych.

Pytam się się, czy się o krok postępuje naprzód, jeśli w formulistyce politycznej stwarza się zawiązek nowego stronnictwa bez dania mu na drogę życia jednej myśli własnej?

Pytam się, czy w czemkolwiek zmienia się treść życia politycznego, jeśli się powiada: to co oni robią, jest dobre, ale my się zawiązujemy w stronnictwo nowe na to, aby ich pilnować, żeby to, co sami uznali za dobre i co sami wykonywali także i w przyszłości robili?

Pytam się, czy się przysparza nowych środków do życia politycznego przez postawienie programu „urgensów“ politycznych?

W dwóch kierunkach można istotnie rozszerzyć u nas podstawę narodowego bytu i przysporzyć nowego dorobku ludzi uświadomionych narodowo. Przez oświatę i przez podniesienie ekonomiczne. Wszystko inne jest czczym frazesem.

Kto powiększa zasób oświaty i niezależności ekonomicznej, ten przyczynia się do powiększenia hufca narodowego.

Tymczasem program rzeszowski pragnąc gorąco osiągnięcia tych celów, odmawia im potrzebnych do osiągnięcia środków-

Ze zdziwieniem spostrzeżliśmy, że w całym programie rzeszowskim o podniesieniu ekonomicznem niema jednej myśli, wskazującej jakim sposobem do tego celu dojść mamy. Samemi pobożnemi życzeniami, aby się przemysł i rolnictwo wzmogły, nie można niczego osiągnąć; bo tu nie idzie o życzenia, ale o wskazanie środków, aby to życzenie urzeczywistnić.

Urzeczywistnić to można tylko przez podniesienie naszego poziomu ekonomicznego tak, iżbyśmy mieli z czego płacić nietylko podatki w obecnej wysokości, ale żebyśmy mogli zebrać dalsze środki do rozszerzenia oświaty i prowadzenia gospodarstwa nakładowego potrzebne.

Wiadomo, że rozszerzanie oświaty odbywa się przez zakładanie coraz większej ilości szkół, coraz lepszych szkół. Lepsze szkoły osiąga się przez jednanie i werbowanie lepszej kategorii nauczycieli. Lepsi nauczyciele kosztują więcej. Zatem rozszerzanie oświaty ma za warunek dostarczenie środków na zakładanie szkół i polepszenie bytu nauczycieli.

Cóż mówi jednak program rzeszowski? Program rzeszowski chce szkół, owszem szkół jak najwięcej, chce nauczycielom dołączyć polepszyć, owszem polepszyć jak najhojniej, a kiedy przychodzi do wyciągnięcia konsekwencji z tego założenia, do dostarczenia środków na te cele uznane jako zbawienne: tu się rzeszowski komitet zacukał i stanął jak wryty. Z miejsca zwinął i począł uciekać wprost w przeciwną stronę. Nie pytając ani o logikę, ani o sens, krzyknął, podatki są za wielkie, ucisk podatkowy trzeba zmniejszyć. I na ten temat począł puszczać bańki mydlane. A że opłacanie podatków nikomu nie może się podobać, więc program, zapowiadający zmniejszenie podatków, musi być bardzo popularnym. To jest bardzo wygodne wyjście z impetu, ale czy to zgadza się z logiką rzeczy i ze sumieniem?

Udowodniano i udowodniono niejednokrotnie — że my w Galicyi płacimy stosunkowo o wiele mniej przeciętnie na głowę podatków, aniżeli wszystkie kraje sąsiednie. Niedawno ogłosił „Przełom“ dwa artykuły o Budżecie Królestwa Polskiego, napisane przez fachowego znawcę stosunków skarbowości rosyjskiej, z których wynika, że Królestwo Polskie płaci przeciętnie więcej podatków, aniżeli Galicya. Węgry płacą znacznie

więcej, Rumuni płacą więcej, Włosi płacą więcej; Niemcy, Francuzi i Anglicy nawet nie mogą być wciągnięci w porównanie.

Więc ten myt o najwyższych na świecie podatkach galicyjskich, jeśli się jeszcze gnieździł w jakiejś głowie, powinien być być z niej dawno wywiany pod działaniem tych młynków statystycznych tyle razy w ruch wprawianych w książkach, broszurach i pismach periodycznych.

A jednak nie. Ten myt nie tylko się gnieździ, ale przechodzi w jakiś dogmat narodowy.

Tak nie jest, my płacimy przeciętnie najmniej podatków, ale my jesteśmy tak biedni, że nawet to małe, co płacimy, wydaje nam się olbrzymiem — i naprawdę przechodzi nasze siły. Te podatki, które w Galicyi opłacamy, dokuczają nam tak dotkliwie, nie dlatego, żeby one były wielkie, wyjątkowo wysokie, wyższe niż gdzieindziej w Europie — nie wcale nie — lecz dlatego, że my jesteśmy w porównaniu z Europą nędzarze, że stan majątku narodowego w Galicyi jest niski. Więc program politycznej partyi, dążący do zmniejszenia podatków w Galicyi, jako przeciążonej, sprzeciwia się faktom; a ludzie polityczni, którzy o tem wiedzą, a pomimo to puszczają takie bańki mydlane popelniają poprostu zbrodnię; mówią to, co się podoba tłumom, zniżają się do poziomu analfabetów, byle im się tylko przypodobać, schlebiają najbrzydszym instynktom, byle tylko tych ludzi sobie zjednać, wprowadzają ich w błąd, lub rozmyślnie utrzymują w tym błędzie, byle tylko być im miłymi. Obowiązkiem tych ludzi było włościactwo o tem pouczać.

Ci ludzie przyjęli na siebie rolę przewodców demokracji polskiej. Różnica między tymi psotnikami społecznymi i sykofantami ludowymi, głoszącymi fałszywe hasła demokracji a prawdziwą demokracją polską, jest ta: że demokracja polska chce przysporzyć krajowi rzeczywistych obywateli, obeznanych z prawdą i podniesionych do zrozumienia myśli narodowej i państwa Polski, a oni chcą przysporzyć sobie wielką liczbę głoszących za kandydatem, głoszącym brednie, schlebiającym tym tłumom. Bo ta jest różnica między ludem a tłumem, że

lud, to jest naród, który się podnosi ze swej bierności do historycznego działania, a tłum, to jest kupa jednostek, mających osobiste zachcianki i przesady, znajdujące godnych siebie demagogów, którzy obniżają się aż do schlebiania tym zachciankom i tym przesadom. Z tego różnoimiennego działania wynika oczywista różnica demokracji narodowej polskiej od demokracji doktrynerskiej, demagogicznej.

Demokracja narodowa chce najszerze koła podnieść do poczucia sprawy narodowej skupić i zgęścić je aż do zerwania się do czynu historycznego na podstawie zrozumienia takiego postępowania, które jedynie może doprowadzić do celu narodowego. A właśnie ten program, który odpowiada przesadom i zachciankom tłumy i jest programem demagogów, nie jest programem demokracji narodowej, bo oni nie zamierzają stwarzać z tych jednostek narodu, lecz się sami obniżają do poziomu umysłowego tych najniższych instynktów i prowadzą te tłumy fałszywemi a schlebającemi mu hasłami na fałszywe drogi. W tem polega cała różnica, że ci, którzy rzeczywiście chcą sprawę narodową posunąć naprzód, muszą zawsze głosić prawdę, chociażby była niepopularną, stają się przez to sami niepopularnymi, ale czynią to w tem głębokiem przeświadczeniu, że tylko tym sposobem mogą spełnić zadanie publicznego wychowania nowych warstw społecznych.

O jednym jednym jednak nie można zapomnąć. O tem, że jesteśmy w peryodzie walki wyborczej. Więc może nie jedno słowo pada inaczej, anizeliby padło w normalnym rzeczy porządku. *A la guerre comme, a la guerre* stronnictwo ludowe szuka walki i szuka hasel: tu wolnomyślni, tu wstecznicy, konserwatyści i pseudo-demokraci, obszarnicy i ich serwiliści i jak się tam te wszystkie przezwiska gminne nazywają.

Kiedy w wojnie domowej amerykańskiej Indianie skalpowali skóry ze swych nieprzyjaciół wśród okrzyków: Whig i Tory — wykonywali w czynie to, co się u nas praktykuje w słowie.

Bo czy kogo obedrą ze sławy, czy ze skóry — to w gruncie rzeczy operacyi obdzierania nie zmienia — zmienia tylko materyał.

Nie wiem w jakiej cenie u nas teraz rozum, ale jeżeliby nawet obecnie przed wyborami bardzo był poszedł w górę, warto się ściągnąć na ten ceny i zawsze nieoszacowany nabytek.

Naprawdę warto przypomnąć zdanie, które przed laty 44 wypowiedział podziwienia godny lord Aberdeen w angielskim parlamencie.

Bardzo sławny i szanowny lord mówił:

„Mniemam, że kraj ma dosyć już tych wszystkich walk i różnic partyjnych, które są bez istotnego wpływu na postępowanie i działalność i zasady mężów stanu.

„Według mego zdania w Anglii w tej chwili nie jest możliwy inny rząd tylko konserwatywny, a równocześnie twierdzę z najgłębszego przekonania i uważam to jako niewątpliwe, że w Anglii obecnie nie jest możliwy żaden inny rząd, jak tylko liberalny. Rzecz prosta: wyrazy te nie mają żadnego określonego znaczenia. Można je zachowywać tylko dla celów koteryjnych, ale kraj ma już dosyć tych różnic, które nie mają żadnego sensu i przeszkadzają jedynie, ażeby ludzie razem współdziałali, którzyby przecie byli w stanie Koronie i ludowi oddać dobre usługi“.

Jak rzeczy dziś u nas stoją, słowa te mają najzupełniejsze zastosowanie. Niema sensu dla jakichś walk partyjnych zatrzymywać stare, zużyte hasła, które nie określają niczego i tylko na urojonych opierają się różnicach. Kraj więcej może skorzystać ze współdziałania tych ludzi obydwu stronnictw, aniżeli z ich próżnych przechwałek, ich błyskotliwych baniek mydlanych i udanych walk.

Dr. Witold Lewicki.



Prof. Ludwik Gumpłowicz o sprawie polskiej.

Znakomity profesor Uniwersytetu w Gracu i jedyny polski w tej chwili socyolog, Dr. Ludwik Gumpłowicz, od dłuższego czasu poświęca swe pióro obznajamianiu Europy z naszym umysłowym życiem społecznym i politycznym rozwojem. Oddaje tym sposobem narodowi polskiemu tem większą usługę, że zapatrywania swoje podaje bez wszelkiej przesady lub partyjnego sądu, rozumiejąc, że Polak piszący dla Europy musi o społeczeństwie polskiem pisać jako o jednolitym i nierozdartym organizmie.

Udział narodu polskiego w pracach cywilizacyjnych wydobywa sprawę polską z cienia historycznego, a wystawa lwowska dała prof. Gumpłowiczowi asumpt do przedstawienia postępów, jakie Galicya uczyniła szczególnie na polu administracji, złożonej wyłącznie w ręku Polaków, tudzież do wyjaśnienia naszego rozwoju duchowego i dobrobytu cywilizacyjnego.

Prof. Gumpłowicz przedstawił w *Revue Internationale de Sociologie* 3. Année Nr. 2, 1895 pogląd na obecny stan sprawy polskiej p. t. le *Mouvement social en Autriche, la Question Polonaise*, który w przekładzie postanowiliśmy dla ważności sprawy podać polskiemu czytelnikowi.

Czytelnik polski przy osądzaniu zapatrywań autora o naszej przyszłości narodowej i naszych uczuciach narodowych nie może zapominać, że rozprawa ta pisana była nie dla budzenia ducha w narodzie lecz dla budzenia podziwu i interesu Europy.

Red. „Przełom“.

Polityka tkwi w zapiskach bieżących, w kronikach rocznych, socyologia może pisać chyba wiekowe, lub przynajmniej półwiekowe kroniki. Dla polityki każdy dzień przynosi coś nowego: jedna scena parlamentarna, kryzys ministeryalna, jakieś słowo monarchy, zgromadzenie robotnicze i t. d. czemuż jest dla socyologii? Niczem. Ona interesuje się tylko ogólnym zarysem w rozwoju społeczeństw, nie dba o atomy tej kredy,

z których składają się koła nakreślone na tablicy historii, ale wybiera tylko te wielkie rysy, które dają odgadnąć kierunek ruchu.

Dlatego nie będę tu przedkładał całego spisu wypadków politycznych, zaszłych w ubiegłym roku w Austrii, zostawiam to kronikarzom politycznym. Z pomiędzy wielkiej liczby zagadnień socyologicznych, które rozwijają się zwolna na terytorium Austrii, wybieram dziś jedno tylko, to które w przeszłym roku zajęło naczelne stanowisko przed wszystkimi innymi i które zarazem zakresliło się tak wybitnie na naszym horyzoncie politycznym, że można wyraźnie dostrzedz jego dalszy rozwój w przyszłości.

Chcę mówić o wystawie polskiej, urządzonej w przeszłym roku we Lwowie, która na kilka miesięcy letnich i jesiennych wprawiła w ruch całą Austrię, bo nie tylko Cesarz i kilku członków rodziny cesarskiej ją odwiedziło, nie tylko Cesarz wypowiedział z tej okazji słowa doniosłego znaczenia, ale i wszystkie prawie inne ludy Austrii wysłały do Lwowa swych przedstawicieli i objawiły swe żywe sympatyje dla sprawy polskiej.

W ten sposób sprawa ta raz znowu wyruszyła się z cieniów historii, ażeby błyszczeć na chwilę na horyzoncie politycznym nie tylko austriackim ale rzec można europejskim. Jest to motyw wystarczający dla socyologii, ażeby odłączyć tę kwestję od wszystkich innych, jakie się rozciągają w Austrii i okazać ją w całej pełni i doniosłości nie tylko dla Austrii, ale dla całej wschodniej Europy.

Sto dwadzieścia i trzy lat upłynęło od chwili, kiedy trzy mocarstwa wschodnie rozebrały Polskę. W Austrii od samego początku uważano ten czyn jako niesprawiedliwość. To też cesarzowej Maryi Teresie ciężko było ustąpić wymaganiom polityki i wziąć udział w „rabunku“, jak się wyraża dziś jeszcze znakomity historyk austriacki Helfert, profesor uniwersytetu wiedeńskiego i sekretarz cesarskiej akademii nauk w Wiedniu.¹⁾ Wyrażenie to jest znamienne, pokazuje ono, że od samego początku i dotąd Austria nigdy nie zapomniała, że rozbiór Polski, w którym wzięła udział zmuszona interesem politycznym wobec Rosji i Prus — był aktem niesprawiedliwości międzynarodowej. To też Austria od samego początku nie poszła drogą polityki eksterminacyjnej wobec Polaków. Były wprawdzie i w Galicji długie okresy germanizatorskie, ale te usiłowania germanizatorskie nie miały nigdy tego charakteru zajadłości

¹⁾ Patrz nowe dzieło tego autora „Oesterreichische Reichsgeschichte“, 1895, p. 184.

nienawistnej wobec narodowości polskiej, jak w Prusiech i Rosyi. W Austrii były to raczej środki administracyjne, środki przykryej sztyki, co prawda, ale zmierzające tylko do ułatwienia jednolitej organizacji całego państwa, na podstawie jednolitego języka państwowego.

Od ćwierć wieku jednakowoż, mniej więcej od r. 1869 Austria rozpoczęła w Galicyi politykę zupełnie inną. Nietylko że zaniechała wszelkich środków administracyjnych, dążących do zgermanizowania kraju, lecz przeciwnie podjęła wobec Polaków politykę bardziej racjonalną, już z okazji konstytucyi z r. 1867 — dając Galicyi pełną autonomią i wprowadzając język polski równocześnie do trybunałów, urzędów i szkół.

Jakież był rezultat tego eksperymentu politycznego? Oto krótko mówiąc: Polacy zamiast robić rewolucye urządzają wystawy.

Z punktu widzenia socyologicznego jest to rzeczą bardzo naturalną. Gdy się ich gnębi, robią rewolucye. Gdy się im dozwoli rozwijać swobodnie wszystkie siły, gdy mogą wykształcać swoje świetne zdolności narodowe — wtedy tworzą dzieła pokoju, wystawy narodowe.

I też przeszłoroczna wystawa lwowska nie mniejszym jest czynem od rewolucyi; bo wszystkie powstania polskie dotąd były tylko protestem przeciw rozbiorowi Polski i manifestacją wobec Europy, że naród żyje jeszcze. To wszystko wystawa lwowska wyraziła także, tylko głosem pokoju. Można powiedzieć, że ta wystawa była objawem wskazującym, że Polacy zamiast rewolucyi krwawych zwracają swe usiłowania do odrodzenia i przemiany wewnętrznej narodu. Bo największa odwaga i waleczność jednorazowa nie zbawi narodu, który nie nabrał hartu i dzielności w codziennej walce życia.

Na tę wielką manifestację narodową złożyły się z jednej strony zgromadzone wytwory pracy narodowej pokazujące, że ze mianowicie Galicya zrobiła ogromne postępy we wszystkich kierunkach życia ekonomicznego i przemysłowego, jako też że na polu pracy umysłowej i pracy administracyjnej i organizacyjnej niezmiernie wiele dokonano, z drugiej strony liczne przemówienia z okazji bankietów urządzanych na przyjęcie gości i reprezentantów obcych narodów, którzy odwiedzili lwowską wystawę.

Wszystkie te przemówienia w rozmaity sposób wyrażały tylko myśl jedną, t. j. że naród polski żyje pełnem życiem i nie myśli rezygnować z rozwoju narodowego na całym obszarze ziem polskich, które rozdzieliły między siebie trzy mocarstwa. Rozumie się, że ta myśl, która była myślą przewodnią całej

wystawy bywała wyrażoną z większą lub mniejszą wyrazistością, wedle okoliczności i położenia mowców, jako poddanych Rosyi, Prus i Austrii. Ci ostatni mogli mówić najswobodniej, bo nie potrzebowali się obawiać nieukontentowania ze strony rządu. Wszakże sam Cesarz Austrii, świadomy uczuć patryotycznych, które ożywiały całe to dzieło i wiedząc zarazem, że Polacy dzisiejsi w Galicyi umieją łączyć swoje uprawnione nadzieje narodowe z lojalnością wobec dynastji Habsburgów — wypowiedział we Lwowie te słowa pełne znaczenia: „Panowie, rozumiemy się nawzajem,“ słowa, które przyjęte były z największym entuzjazmem w całym kraju.

Za prawdę nie może lepiej charakteryzować tego zwrotu w usposobieniu i w polityce, jaki się dokonał w Galicyi, jak ten fakt, że Cesarz austriacki wypowiedział te słowa, jako odpowiedź na przemówienie prezydenta wystawy, księcia Adama Sapiehy, który przed trzydziestu laty wziąwszy walecznie udział w ostatniej krwawej rewolucji polskiej z r. 1863, jako powstaniec był uwięziony w tem samym mieście Lwowie, w którym obecnie podejmuje Cesarza Austrii. Tak wielka jest przemiana, jaka się dokonała nietylko w narodzie polskim, ale także w ideach politycznych rządu austriackiego. W Austrii sprawa polska może być rozważana z całą otwartością; Polacy nie mają potrzeby ukrywania swych nadziei narodowych i wyrażając je, nie potrzebują się obawiać zarzutu nielojalności. To fałszywe pojęcie, że uczucia patryotyczne i pragnienia narodowe nie dadzą się pogodzić z lojalnością dla obcego monarchy, dziś już w Austrii nie istnieje.

W ziemiach polskich pod rządem pruskim rzeczy nie zaszły jeszcze tak daleko, jak tego mieliśmy dowód z okazji wystawy lwowskiej.

Pomiędzy innymi przedstawicielami Polaków z pod zaboru rosyjskiego i pruskiego przybył także do Lwowa hr. Kościelski, członek pruskiej izby panów i jeden z b. przewodników parlamentarnych partyi polskiej w parlamencie niemieckim. On także wypowiedział słowa ważne. Oddając hołd pracy narodowej w Galicyi, zapewniał imieniem rodaków z pod zaboru pruskiego, że nie zapomną nigdy o więzach narodowych, łączących ich z resztą Polski, która pomimo rozdziału politycznego tworzy i zawsze tworzyć będzie narodowość jedną, niepodzielną.

Te słowa wywołały w Niemczech żywe protestacye dzienników niemieckich, które oskarżyły hr. Kościelskiego o brak lojalności wobec państwa, do którego należy. Ale zdaje się, że cesarz Wilhelm II. nie dzieli tych podejrzeń szwinitów niemieckich. Wielka mowa, którą wypowiedział mniej więcej

w tym samym czasie w Königsberg, w której zaznaczył swe sympatye dla Polaków będących pod jego berłem, pokazuje, że on także pojął, że poczucie narodowe w Polsce jest nieśmiertelne, że stłumić się nie da, ale że polscy jego poddani chociaż zachowują i rozwijają swą narodowość, nie myślą o rewolucyach. Że tak samo jak Polacy w Austrii nie marzą i nie wierzą w odbudowanie Polski na drodze orężnej; że są lojalnymi poddanymi państwa, i że tak samo, jak wszyscy Polacy mają to przeświadczenie, że przyjdzie czas, kiedy mocarstwa, które rozebrały Polskę, przyjdą same do tego przekonania, że w ich własnym interesie leży rekonstrukcyja Państwa polskiego.

To jest artykułem wiary każdego Polaka, artykułem wiary, który niema nic do czynienia z polityką aktualną i nie może kompromitować lojalności Polaków wobec monarchów trzech Państw rozbiorowych. Należy się spodziewać, że ta słuszna idea zyska uznanie w Niemczech, tak jak już zdobyła sobie umysły w Austrii.

Bo też rzeczywiście, gdy się rozważa z punktu widzenia socyologicznego tę sprawę polską, która się nie zamyka w granicach Austrii, ale sięga od Odry do Niemna i od Bałtyku aż po Morze Czarne — to się widzi, że ta sprawa domagać się będzie załatwienia ostatecznego ze strony mocarstw interesowanych. Bo ta kwestya nie da się wyeliminować z polityki wschodniej Europy i tak długo, dopóki nie będzie rozstrzygnięta stanowczo, musi zawsze pozostać otwartą raną na politycznym ciełe Europy.

Od wieku i ćwierć Polska przypomina członki rozrąbane tego węża w poemacie Wiktora Hugo:

„La hache en trois tronçons avait coupé vivant“

„Son corps que l'onde arrose“,

„Et l'écume de mer que lui jetait le vent“

„Sur son front flottait rose“.

„Ces tronçons déchirés, épars, près d'épuiser“

„Leurs forces languissantes“.

„Se cherchaient, se cherchaient“... .

Tak samo szukają się i zawsze szukać się będą części rozczłonkowanego narodu polskiego. A zdążają do siebie nie przez chimereę tego lub owego przewodnika nie przez podniętę i zachętę szlachty polskiej, nie przez jakieś skłonności rewolu-

cyjne, ale dążą do siebie nieprzeparłą siłą, na podstawie przyrodzonego prawa społecznego.

Tutaj nasuwa się ważne zagadnienie socyologiczne, czy te rozszarpane części się odnajdą, czy zrosną się kiedy w organizm żyjący własnem, niezależnem życiem? Pytanie to jest bardzo interesującym, gdyż historia zna państwa pokonane i rozczłonkowane, które już nigdy nie odzyskały swej pierwotnej niezależności. Czyżby może to miało być udziałem Polski?

Na to pytanie socyologia może dać dobrze umotywowaną odpowiedź.

Upłynął już jeden wiek i ćwierć od czasu, gdy trzy mocarstwa wschodnie rozebrały Polskę i rozszarpane ziemie wcieliły w swoje państwo. Jakież są przyczyny, które sprawiły, że dotąd nie udało się im dopełnić wcielenia moralnego, amalgamacji narodowej tych odłamów Polski, i jak to się dzieje, że dziś, po wiekowej przeszłości niewoli, narodowość polska objawia życie silniejsze i o wiele bardziej rozwinięte, niż to było przedtem?

Przyczyna jest bardzo prosta. Mocarstwa rozbiorowe przedsięwzięły akt rozbioru o ośm wieków za późno. Gdyby to się było stało w r. 1000 naszej ery, byłoby im się niezawodnie udało oderwane ziemie wcielić w swoje państwa i dokonać amalgamacji moralnej. Bo przecież wszystkie wielkie organizmy państwowe powstały przez podbój, anexją i zlanie się żywiołów różnorodnych. Ale te żywioły nie miały jeszcze indywidualności narodowej i dlatego mogły być pochłonięte przez potężniejszą cywilizację. Polska zaś z końcem przeszłego wieku, jakkolwiek nie rozwinięta jeszcze w całej pełni, była jednakowoż tak daleko na drodze unarodowienia swych składników etnicznych, że mogła na tej drodze dalej postępować, pomimo jarzma obcej władzy. I ten postęp do dzisiejszej doby był nieprzerwany. Pomimo wszelkich trudności i przeszkód stawianych przez nieprzyjaciół, trzeba przyznać, że Polacy spełnili historyczne zadanie unarodowienia, które przed stu laty nie było jeszcze dokonane, a spełnili je wśród trudnych warunków z energią, wytrwałością i rezultatem, na jakie niema przykładu w historii. Od czasu rozbioru Polacy stali się narodem tak wybitnym duchowo, tak silnie związanym, jak gdyby byli pod jednym berłem. Polska nie jest namalowana jako osobne państwo na karcie Europy, ale naród Polski stoi silnie i odrębnie między narodami Europy i we wszystkich dziedzinach życia duchowego: w literaturze, w nauce, w malarstwie znaczą wiekopomne dzieła.

Widzimy dziś powstające i ocknione małe narody, jak Serbów, Bułgarów, o których istnieniu świat z trudnością przypomnieć sobie może, tak mało dotąd zaznaczyły się wśród

ludów europejskich. Polska daje przykład zupełnie przeciwnego zjawiska: wśród świata cywilizowanego zajęła tak znakomite stanowisko, że trudno przychodzi wyobrazić sobie, że naród, który ma taką indywidualność potężną, niema niezależnego bytu. Socyologia, opierając się na danych naukowych, sądząc według analogij historycznych, nie może przyjąć, ażeby naród, który okazał swą niepożyłą żywotność wśród tak ciężkich warunków, który wśród przeciwności rozwinął do tej miary swe życie umysłowe, wznosząc się w dziedzinie najważniejsze — ażeby taki naród mógł być na zawsze pozbawionym niezależności politycznej. To jest niemożliwe, to się sprzeciwia wszelkim prawom naturalnym, rządzącym społecznem życiem narodów.

Ale im silniejsze ma się przeświadczenie o tej prawdziwej dziejowej, z tem większym spokojem oczekuje się naturalnego rozwoju rzeczy, koniecznego rozwiązania stosunków międzynarodowych Europy.

Polacy wiedzą to wszystko już dzisiaj. Dlatego obchodzą w pokoju wiekowe i półwiekowe rocznice swoich rewolucyj, oni już nie robią i nie będą robili rewolucyj krwawych, swoje nadzieje ugruntowane na naturze rzeczy, łączą z lojalnością wobec monarchów, którzy obecnie posiadają rozdzielone części ich Ojczyzny. Czas nie jest stracony, naród się rozwija nieustannie, nieprzerwanie.

Dosyć na tem; gdy naród żyć będzie, to i Ojczyzna niezawodnie odżyć musi. Jak się to zrobi? Sprawa cywilizacji europejskiej, żywotne interesa mocarstw rozbiorowych staną wobec konieczności odbudowania Polski — doba niewiadoma.

Naród może czekać, dziś nie żąda od swych obywateli aktów rewolucyjnych; wie, że zawsze liczyć może na ich oddanie i wierność.



Głodna sztuka.

Zmierchło. W pracowni mojej siedzę sam, patrząc na rozłożony zeszyt „Moderne Kunst“. Na pierwszej stronnicy tego wspa-
niałego pisma widzę rysunek Fałata, a poniżej tytuł artykułu:
„Polnische Kunst“, napisany przez dzielnego malarza Fritza Stabla.
Artykuł ten poczyna się od wiersza: „Jeszcze Polska nie zginęła!“
Serdecznie i z prawdziwą przyjaźnią pisana rzecz o sztuce i arty-
stach naszych, mimowoli lżą zrosiła mi oczy, duszę wezbrała uczu-
ciem dumy, ale serce ścisnęło uczuciem żalu za całym szeregiem bo-
jowników, którzy zrodzeni na ziemi krwi i zgliszcza, nie mieczem,
ale pracą ducha dążą do utrzymania wiary w słowa: *J e s z c z e*
P o l s k a n i e z g i n ę ł a !... Przed oczyma moimi przesuwa
się cały szereg tych ludzi. Nie sięją oni ani orzą, nie robią maszyn
ani hodują stad. Uzbrojeni w siłę woli i uczuć szlachetnych, roz-
poczęli oni bój wielki z całą Europą, ze światem całym, za broń
wybrawszy sobie *s z t u k ę*. I tą bronią wywalczyli oni całemu na-
rodowi swemu pamięć i szacunek i podziw. Wywalczyli — ale bez
pomocy narodu. Naród bowiem, względnie jego szlachetniejsza część,
nie poczuwa się do obowiązków dawania pomocy tym wojownikom,
a biorąc od nich wszystko, pozwalał walczyć i ginąć... Tyle
imion!... Cały tłum tłoczy mi się przed oczy... jedni z suchot-
niczemi wypiekami na policzkach, inni obdarci pną się bosemi no-
gami po różach i krwawią ciało kolcami nędzy!... Inni znowu
obłąkanym wzrokiem wodzą naokoło i patrzą na mnie tak przykro
i boleśnie!... głowy mają wieńczone laurem, w dłoniach ściśnię-
tych dyplomy i złote medale... Zdała za tymi stoi mała garstka
dobrze odzianych i odżywionych postaci, obojętnie patrzących na
odartych i szalonych... w jednej ręce trzymają kartki z imionami

mecenasów i kunsthaendlerów, w drugiej worki dobrobytu... Oprzytomniałem, a wzrok mój padł znowu na słowa artykułu: „Es giebt eine polnische Kunst!... Otóż to jest wielkie pytanie! Ci artyści, którzy mieszkają w Monachium, są znani Niemcom, ci w Paryżu Francji, ale bardzo niewielu z tych, co mieszkają w kraju dla niego na miejscu pracując. Sztuka polska, czy polscy artyści? co istnieje? Na temat ten prowadziłyby można szeroką polemikę, której wynik byłby może rozbudzeniem w szerszej masie naszej publiczności poczucia do obrony naszej sztuki i do dania jej skutecznej pomocy. Sztuka sama, jako taka, nie może być popierana przez miliony członków narodu — te miliony jednak powinny stworzyć tysiące jednostek zamięłowanych w niej i popierających wszystkimi siłami. Wtenczas dopiero sztuka ta stanie się narodową, a w różnych swoich odmianach mówić będzie do całej masy bądź to jako poezya, jako muzyka, malarstwo, rzeźba lub architektura. Sztuka ta uszlachetniać będzie formy i kształty, jakimi surowo i bezwzględnie przemawia do nas życie. Sztuka ta da nam szereg prawdziwych artystów i geniuszów, którzy dziełami swojemi znaczyć będą istnienie nasze, a masom narodu, jako lekarz kość będą rany wiekiem niewoli zadane!... Wątpisz o tem? Przeczytaj z „Przedświtu,“ mały ustęp, a poruszy on w tobie całą skalę uczuć, zajrzy ci na dno duszy i wywoła na wierzch echa wspomnień, które ci powiedzą kim jesteś!...

Znasz zimowy step ten głuchy,
 Gdzie śpią w grobach ojców duchy?
 Gdzie w powietrzu twarz księżycy
 Jak trupiego widmo lica:
 I gwiazd niema tylko ona
 W środku niebios, niewzruszona!
 W jej promieniach przestwór cały
 Znicestwiony, skamieniały.
 Kędy spojrzeć, na wsze strony
 Zaspy, śniegi, lody, szrony.
 Strach jak biało, pusto, marno!
 Groby tylko z głazu ryte,
 Żadnym śniegiem nie pokryte,
 Śród tej bieli stoją czarno!

Jeśli ci tego wiersza za mało idź, popatrz na „Rejtana“, na „Unią“ Matejki, posłuchaj żalobnego marsza Chopina, a te różne na pozór dzieła sztuki przeniosą cię w taki świat cierpień, że własny twój ból ukoją! . . . Rozpacz ustąpi i miejsce jej zajmie spokojne dążenie samopociechy duszy i serca. Sztuka bowiem działa niezrównaną potęgą i siłą, gdyż jest wyrazem największej umiejętności człowieka, którego właśnie dla jego niezwykłego talentu i władzy tworzenia zowiemy artystą. Zapewne, że słowo artysta jest zaszczytem, w którego nadawaniu publiczność, a szczególnie prasa powinna się więcej niż dotychczas ograniczyć, ponieważ wielu jest powołanych, ale bardzo mało wybranych.

Takimi wybranymi dla autora artykułu „Polnische Kunst“ są artyści polscy, którzy obok niego pracują i na dostępnych mu wystawach wystawiają. Takimi wybranymi są dla sprawozdawców monachijskich i paryskich ci, którzy dla nich są dostępni. Wszystkim tym sprawozdawcom należy się bezsprzecznie wdzięczność i uznanie tem większe, że o większości polskich artystów stale za granicą mieszkających dowiadujemy się u nas w kraju z ich artykułów, albo przy sposobności wielkich wystaw okolicznościowych, na których rozdają się dyplomy i medale złote. W latach zwykłych, na zwykłych „Salonach“ Warszawy i Krakowa lub Lwowa, nie widzimy nic takiego, coby nas utwierdzało w przekonaniu o wielkości polskich artystów i istnieniu polskiej sztuki. Na zwykłe dni pracować muszą artyści zawsze mieszkający w kraju, w otoczeniu mniej jak biednem — wśród walki o codzienną strawę, nie dziw więc, że i plon ich jest średni, chociaż większym nakładem siły moralnej produkowany.

Artyści polscy mieszkający w Monachium lub Paryżu albo Rzymie, wykształcenie swoje i sławę zawdzięczają zagranicy. Tam się zaaklimatyzowali, tam czują się w domu i znajdują materialne zapewnienie bytu. Czasami, tylko czasami zawita jakaś z ich prac do krajowego „Salonu“ i to zwykle praca słabsza od innych, które wprost ze sztalugi poszły w ręce Kunsthaendlerów lub na obce „Salony“ światowe, aby z nich już do artysty, a tem mniej do kraju powrócić. Muzea są u nas nieznanne. Jedyne „narodowe“ w Krakowie posiada większość obrazów z początkowego okresu sztuki polskiej, a mniejszość ich z lat ostatnich nie dowodzi wcale

istnienia jej wielkości. Owa szkoła czy nawet „Akademia“ Sztuk pięknych w Krakowie wykazała się szczególnie w ostatnich latach nie tylko nie dodatnią działalnością, ale wprost zgubnym wynikiem w mnożeniu proletariatu polskich artystów, ponieważ nie daje ani nauki przygotowawczej, z którejby powstałby dzielni pracownicy na polu sztuki artystycznego przemysłu, ani nauki skończony dla samodzielnie tworzących artystów. Jest ona jakby konieczną potrzebą istnienia dla pewnych tylko jednostek, którym trzeba dać utrzymanie i to utrzymanie pokryć jakąś pracą oddawaną społeczeństwu. A wątpię, czy jest taka praca, która by gorsze wyniki dawała, jak praca szkoły sztuk pięknych w Krakowie. Nie stworzyła ona sztuki polskiej i o stworzeniu jej wcale nie myślała, mając na celu jedynie utrzymanie swój konserwatywny charakter kierunku tej sztuki bez względu na postęp, jaki się znaczył naokoło w całej Europie. Zamiast artystów, wydała całe szeregi biedaków, którzy nie mając dość talentu, aby wybić się na wierzch, nie mając dość pieniędzy, aby wyjechać zagranicę, pozostali przez czas dłuższy w tej freblówce polskiego proletariatu artystycznego — ginąc w niedostatku bez jakiegokolwiek pożytku dla społeczeństwa, dla siebie samych, a tem mniej dla sztuki polskiej. I nie pomoże tu ani zmiana kierownika szkoły, nie pomoże jego sławne imię i jego własna ciężka praca. Potrzeba na to zmiany wszystkich bez wyjątku sił nauczycielskich, potrzeba zapewnionej dotacji, wystarczającej na dawanie potrzeb naukowych, potrzeba nowych ludzi z fanatyczną miłością do sztuki i z wiarą w jej przyszły rozwój. Potrzeba artystów, którzyby ciągle mieszkali w kraju i w nim pracując, wlewali na otoczenie całej masy narodu, aby z niego wydobyć owe jednostki, do jakich należy pielęgnowanie i rozwijanie narodowej sztuki. Czesi powołali wszystkich swoich większych artystów z Paryża, Monachium i Wiednia do Pragi, Czesi utrzymują swoją szkołę sztuk pięknych tylko za składkowe pieniądze, bez rządowej pomocy. I w szkole tej kształcą i wykształcili już sporą garść artystów oraz pracowników na polu artystyczno przemysłowym, jakiego my jeszcze wcale nie posiadamy. Tylko w ten sposób szczerzy i prawdziwie miłujący wszystko co swoje dojdźmy rezultatów w stworzeniu sztuki polskiej. Dzisiaj sztukę polską tworzą aparaty migawkowe, za pomocą których większość naszych zagranicznych

artystów zbiera swojskie typy i łany, aby na podstawie ich malować „polskie motywy„ — tak zagranicą pokupne! Dzisiaj trudno mi jeszcze przyznać prawdziwości istnienia sztuki polskiej, choć wierzę święcie w jej przyszły byt — do dzisiaj my publiczności, a ona nas nie rozumie, więc trudny jeszcze kompromis. Tem trudniejszy zaiste, że dziennikarstwo polskie, zajęte sprawami polityki, nic, ale to zupełnie nic nie czyni w celu pouczenia narodu o istnieniu sztuki, o jej potrzebie i o jej pracownikach. Jeżeli zaś prasa warszawska pozbawiona swobody politykowania coś w tej mierze czyni — to wygląda to więcej na reklamę robioną pewnym wyjątkowym jednostkom artystycznym, ale nigdy na popieranie celów ogólnych sztuki. Chwalić się i pawi ogon rozkładać pysznie — bardzo lubimy. Kochamy wszystkich artystów, którzy nic od nas nie potrzebują — szkoły krakowskiej nie pozwolilibyśmy zwinąć nawet za cenę przychylnego nam ministra oświaty, tylko pomagać sztuce i artystom nie możemy... bośmy biednym krajem... głosimy.

I dlatego o wielkości sztuki polskiej dowiadywać się musimy z „Moderne Kunst“, której redakcyi wyrazy prawdziwego uznania złożyć się należy za te słowa serdecznej protekcyi, jaką otoczyła naszych artystów i naszą sztukę w dewizie: „Jeszcze Polska nie zginęła!“

Roman Lewandowski.



Współczesne malarstwo angielskie.

Jeszcze w czasie wielkiej wystawy paryskiej w r. 1889 powiedziano trafnie o galeryach mistrzów angielskich, że to jest nawa wielkiej mistycznej świątyni, stworzonej chyba na to, żeby wśród obrazów głoszących ewangelią nieznanym myśl, czytać *Vita nuova* Dantego.

Sztuka też żadnego narodu nie odznacza się taką głębią mistycyzmu i tak olimpijskim spokojem, jak nowsza sztuka angielska.

Nie rozumie ona zgoła, co to znaczy obraz bez treści, nie entuzjazuje się piękności modelu, dającego pole do popisania się świetnością rysunku, kolorytu i światłocienia.

Zręczne pochwycenie indywidualnego typu i „prawdy życia“ nie jest tu jeszcze kresem artystycznej twórczości; olbrzymie płótna, dające możność wywoływania wielu efektów umiejętnem rozmieszczeniem grup, należą w Anglii do rzadkości.

Anglik nie lubi malować wielkich epizodów dziejowych, rewij wojska, polowania na niedźwiedzie lub steppe chasse z chartami. Temat to za błahy dla niego, za marny, godny tylko błyskawicznego aparatu fotograficznego.

Przedewszystkiem pamięta o tem, że ma być psychologiem, że ma działać nie tylko na oczy i wyobraźnię widza, ale zaabsorbować całą jego istotę duchową, pochłonąć rozum, przemówić do uczucia, a nawet i sumienia.

Stąd sztuka angielska jest niezwykle poważną, szlachetną, uduchowioną, a nawet powiedziałbym mistyczną. Przyczyn tego szczególnego kierunku sztuki angielskiej trzeba szukać w warunkach jej rozwoju. Kiedy na stałym lądzie Europy na przemiany raz Kościół, to znowu państwo brało malarstwo i artystów w opiekę,

zniewalałac ich do obierania tego lub owego rodzaju przedmiotów, w Anglii szczęśliwej, nie narażonej na tak straszne lub przynajmniej nie na tak częste przewroty dziejowe, sztuka cała streszczała się do niedawna w odtwarzaniu błogosławionego „homo“, cichego szczęścia rodzinnego.

Ilustrowanie kroniki dobrobytu mieszczańskiego nie mogło jednak zaspokoić żywej wyobraźni artystów i w braku wielkich wypadków zewnętrznych, w braku wielkich wstrząśnień i rewolucyj w łonie państwa, Anglik szukał ich w głębi samego siebie — został psychologiem.

Tematem kuszącym go jedynie, to nieuchwytne poruszenia serca, szamotanie się rozumu w wątpieniu między prawdą a fałszem, rosterka woli między dobrem a złem i cała tragiczność życia nowoczesnego człowieka.

Mimo to sztuka angielska daleką jest od wszelkiej przesady, skąpą w szukaniu wyrazów, daleką od efekciarstwa. Jak Anglik mało rozprawia i gestykułuje w życiu, tak i w sztuce nie znosi one pêle-mêle szczegółów, efektów i efekcików.

Hunt nie przedstawił nigdy Chrystusa w całej grozie męki na Golgocie, ale dramat pasji wyraził jednym ruchem ręki Matki Bolesciwej, wskazującej na cień krzyża na murze.

Burne-Jone, przedstawiając legendę średniowieczną o księżniczce skazanej na dożywotnie dogorywanie w więzieniu, nie maluje jej z zakneblowanemi ustami, gwałconej i poniewieranej, ale wolną jeszcze, z niepokojem spoglądającą na szarzejące w dali kontury wieżyc gniazda samowoli i gwałtu.

W sztuce angielskiej czuć ducha niektórych nowszych dramaturgów, u których właściwa akcja rozwija się w rozmowie ociemniałego starca z córkami, dla których właściwym aktorem jest sentiment, a sceną dusza dotyczącej osoby.

Jak w słynnej grupie Laocona wszystkie figury samem tylko skrzywieniem twarzy dają świadectwo najwyższej boleści, tak na obrazach angielskich napróžno-byśmy szukali ust złożonych do okrzyku, ciał upadających od uderzenia sztyletu, broczących krwią, słowem — wszystkich scen wrzaskliwych, niespokojnych, dobrych — zdaniem Anglika — w ilustracyi szylingowego romansu, ale nie w szlachetnej sztuce.

Natura ludzka powinna zawsze zachować swą godność i majestat, inaczej mówiąc, zimną krew angielską; stąd według swych pojęć estetycznych Anglik wyraża cierpienie lekkim jeno pochyleniem głowy lub załamaniem rąk.

Nadający ton całej estetyce angielskiej Ruskin potępia zasadniczo podnoszenie wszelkich zewnętrznych objawów cierpienia, które zdaniem jego nieś wiadczą bynajmniej o duchowej sile bohatera, ale raczej znamionują jego niedołęstwo i słabość moralną. Twarze też wszystkie powinny być regularne i piękne, oddawanie scen z życia gawiedzi ulicznej lub tawernianej poczytywane jest za shocking, a Armitage staczał prawdziwą kampanią z jednym ze swych kolegów o to, iż w obraz swój wprowadził murzyna. Charakterystycznym jest także traktowanie całości. Każdy inny artysta stara się główną postać swą wysunąć na pierwszy plan i zogniskować na okolo niej wszystkie szczegóły, aby tem lepiej ją uwydatnić i skupić na niej całą uwagę widza.

Anglik bynajmniej tem się nie troszczy. Na portrecie *Alma Tedy* my *Dra Epi* nie widzimy ani jego nóg, ni ramion, ale charakterystyczne wyzyskanie szczegółu — trzy ręce. Trzecią oczywiście jest ręka chorego, będącego przedmiotem obserwacji lekarza.

Zwracając się wreszcie do kolorytu, to jaskrawy, ostry ton „bright colour“ jest tu dominującym i uważanym za spuściznę rafaellovską. Przewódca nowożytnej szkoły angielskiej (Ruskin) jest nieprzebrany w nakłanianiu artystów do szukania tonów pełnych, śmiałych i żywych.

Aby nakłonić publiczność do oświadczenia się na korzyść ich, nie waha się oświadczać, że to kolor jedynie prawdziwy, moralny, niewinny, święty, nakazany przez Pismo i istniejący z rozkazu bożego.

Charakterystycznym w tej mierze jest jego ustęp. „Wszystko, cokolwiek jest w świecie niewinnem, czystem, dziewiczem, Bóg upstrzył dziwną żywością kraszy i wyrazistością jej tonu; barwa przygniona, szara i niewyraźna znamionuje rzeczy marne, codzienne, albo też ostrzega przed ich niebezpieczeństwem. Popatrzcie na jasną, śnieżną szyję gołębia i porównajcie ją z szarym grzbietem węża. Rozglądajcie się w obrazie wszechświata; porównajcie tęcze, wschody

słońca, barwy róż, motyli, drogich kamieni, z mgławicą, ciemnością, jadowitymi węzami, z tem wszystkim, co jest symbolem kłamstwa, śmierci i upadku, a poznać, po czyjej stronie jest prawda i jak właściwie zapatrywać się należy na kontrowersją między kolorystami, a zwolennikami półcienia.“

Jako wierni wyznawcy tych dogmatów, Anglicy żywemu napięciu tonów poświęcają wszystko, nawet podobieństwo natury. „Brillan cy“ przede wszystkim, a stąd nie dziw, że koloryt obrazów Madoxa Browna i Hunta u nas wywołałyby tylko okrzyk oburzenia i zgrozy, że barwy Burne-Jonesa przypominają chrysocalium (aliaż naśladowujący złoto).

Przeciw temu zбочzeniu protestuje wprawdzie energicznie sędziwy Poynter z Oxfordu, ale nawoływania jego są głosem wołającego na puszczy. Głośny malarz amerykański Whistler był tak silnie zaatakowany przez Ruskina z powodu wystawienia w Londynie swego, w półcieniu utrzymanego obrazu, „Nokturn“, że postanowił szukać sprawiedliwości w sądzie.

Krytyka wyraziła się o nim, że to dymna rakieta i garnek brudnych farb, którym artysta, rzucił w twarz publiczności.

Jury było w prawdziwym kłopotcie, mając orzec, czy ten utwór był istotnie chęcią zadrwienia z dobroduszných Anglików.

Obraz stawiono przed kratkami sądowemi, przywołano jako rzeczoznawców dwóch najgłośniejszych malarzy, a ponieważ nie upatrzone w obrazie ani szczegółu, ani kompozycyi, odsądzono go od imienia i wartości dzieła sztuki. Ten sam sąd pojawił się w Times, a kiedy sąd cywilny skazał Ruskina na nieznaczną grzywnę za oszczerstwo, składka publiczna pokryła wszystkie koszty procesu.

Oczywiście obraz Whistlera przedstawający stary most Batterse'a i kilka postaci, błędzących we mgle nocnej, był niezrozumiałym dla Anglików nokturnem i urągówiskiem z ich poglądów. •

Jeżeli byłoby ta wada do zarzucenia sztuce angielskiej, to na nieklamane uznanie zasługuje ich pogląd o posłannictwie i celach malarstwa. Ruskin nie waha się powiedzieć, że ono ma nietylko uprzyjemniać życie, ale być jego szkołą i uszlachetnieniem, powinno stać się wyrocznią i własnością całego narodu, z niego

cała demokracja powinna czerpać te czyste rozkosze i te pierwiastki umoralniające, jakie jedna tylko sztuka dać w stanie.

Dlatego też artysta-malarz angielski powinien być człowiekiem skończonej inteligencji. Jest nim też prawdziwie. Rozmawiając z którymkolwiek z nich, trudno nie zdumiewać się nad olbrzymim zasobem jego wiadomości i energią w ciągłej pracy umysłowej.

William Morris, fabrykant witraży, jest teraz największym poetą Anglii i przewodcą stronnictwa socjalistycznego, Leighton włada wszystkimi językami, Burne-Jones ukończył Oxford i jest znakomitym znawcą literatury średniowiecznej. Watt jest filozofem, Hunt egzegetą, Alma Tadema archeologiem, Poynter miewa konferencje, jak niegdyś Reynolds Millais i Herkomer byli profesorami w Oxford. Oczywiście tacy artyści mogą działać na duszę wszystkich, boć sami są duchami zahartowanymi w szkole życia, uczyli się wiele i wiele umieją, patrzą w serce, bo je znają i pojmują.

Karol Wróblewski.



Skrucha.

Przedemną morze kamieni. Nademną morze światła. W promieniach słonecznych jaśnieją marmury olbrzymiego Duomo, Battistero i Campanilli. Cisza i samotność marmurowej pustyni. Z daleka gwar miasta, żyjącego wszystkimi ludzkimi namiętościami. Nie uczuвам żadnej. A jednak żyję. Że żyję, dowodzi cień, który mnie ściga, wyprzedza, ugania. Nie mogę się tego cienia pozbyć. Czy mój głos ma dźwięk? Chciałbym się przekonać — ale w tym majestacie ciszy nie umiem z krtani wykrztusić dźwięku. W powietrzu czuję żar bezcielesny, w którym się bezwiednie unoszę. Nawet uczucie ciężenia ciała mnie opuściło. Zdaje mi się, jakbym się w przestrzeni rozlewał. Podnoszę prawą rękę, aby się przekonać, czy ona moja jest. Dotykam nóg, aby się upewnić, że mnie dźwigają. Czy myślę? Właśnie że myśli moich pobierać nie umiem. Czuję tylko, że mi po głowie krążą jak chmara komarów — brzęcząc. Nie mogę sobie przypomnąć kim ja jestem? Czuję, jakby mi delikatny muślin przesuwiał się między oponą mózgową.

Dziwny stan. Po długim wysiłku myślenia przekonywam się, że nie wiem, kto ja jestem. Patrzę w górę: niebo zawsze głębokie, to samo w świetle rozlane blado-niebieskie, nic mi nie mówi, nic nie objaśnia. Podziwiam je. Słońce świeci, jakżeby chciało cały świat zapalić. A jednak cień chodzi za mną i w dłoniach uczuвам mróz. Duomo otwarty, więc wchodzę w olbrzymią przestrzeń, na której rozległ się chłód. Widzę kropielnicę, maczam dłoni i skrapiam czoło i piersi i ramiona święconą wodą, robiąc znak krzyża świętego. Żegnaj się — a więc ja przecież jestem. Jestem, to już nie podlega żadnej wątpliwości. Ale kto ja jestem? Jakim znakiem ja różnię się od innych kreatur? Gdzie był przedtem? Skąd się tu wziąłem? Czego chcę? I dokąd zmierzam? Widzę przed sobą te pytania bezdenne, jak widzę, jasno szarawe, nic nie mówiące, tajemnicze oczy Sfinxa.

Jak cień tak oczy tejnieskończzonej i wiecznie trwałej zagadki bytu przesładują mój mózg. Sfinxa zabić nie potrafię, a tych za-

gadek rozwiązać nie umiem. Wszystkie wysiłki mego mózgu sprawiły tylko, że mózg stracił, a rozumem tego dociec nie potrafiłem, co mnie najbardziej obchodzi: siebie nie mogłem odnaleźć.

W tem zamysleniu, w zupełnem zapomnieniu siebie i o sobie, w tem stanie zaczucia poruszam się. Idę, przedemną, zamną, obok mnie tłum ludzi. Czego oni tak spieszą? Za czem oni gonią? Czego oni szukają? Czy oni wiedzą, kto oni są? Mijam most, ten stary most, którego od wieków uczepiło się setni domów i domków, jak gniazda jaskółcze przylepione . . . idę długą piniami i eukalyptusem wysadzaną aleją w górę, Dawid patrzy na mnie z tryumfem siły młodzieńczej pokonującej Goliatów — miasto leży u stóp mych rozłożone po obu brzegach rzeki, na samym szczycie jakiś kościół przedemną z marmurowym frontem świeci mi w oczy wielkim reflexem promieni słonecznych. To San Miniato del Monte. Bezświadomie stąпам po tej mozaice czarno-białych marmurów portykowych pierro verde. Stoję przed lewą kaplicą i patrzę na napis. Czytam. To pomnik kardynała Jacobo Portugal de Rosselini, podziwiam te cztery cnoty Lucca delle Robbia trzymające straż nad grobem wielkiego zmarłego, wielkiego w swoim spokoju, w swem życiu enotliwym i w swej sprawiedliwości.

Wychodzę na Cimentario. Cisza grobowa. Białe marmury olśniewają mnie, kamień na kamieniu, a słońce rzuca swe promienie, jaśniejące i oświecające imiona złotemi głoskami wryte w marmurze. Odczytuję napisy i melancholijnie rozważam. Więc każdy z tych, którzy tu w proch się rozsypali i poszli na żer glist i użyźnienie tych cyprysów, co jak szyldwachy śmierci smutnie się zielenią, każdy z tych marnych śladów bytu na ziemi zostawił imię po sobie, zostawił może nieśmiertelny ślad swej pielgrzymki ziemskiej, zostawił dzieci i wnuki i pra-prawnuki i na tych śladach sam się unieśmiertelnił i jak bezcielesny cień, jak wspomnienie i tradycja żyć będzie wiecznie i wiedział kim jest i po co przyszedł — a ja? Ja nie wiem. Mogę iść, śpiewać, tańczyć, pisać, wymyślać systema, które jutro ktoś inny zburzy, mogę działać i wpływać na innych czyny — ale sam nie wiem, kto ja jestem? Stałem jak wryty. Jakto ja niemam wiedzieć, kto ja jestem?

Próżno. Żaden wysiłek nie zdaje się nic. Żadne wspomnienie nie przychodzi mi w pomoc. Przeszukuję moje kieszenie, szukam paszportu, legitymacji przed samym sobą. — na nic. Nikogo na świecie, ktoby mi powiedział kim jestem. Żyję pod pseudonimem, Zgubiłem się. Ratunku! — może mię kto znajdzie — kto mię mnie wróci, oddam wszystko co posiadam rzetelnemu znalazcy mojego ja. Czuję, że się ze mną coś dzieje. Ja szaleję, a jednak ja nie jestem szaleńcem, tyłkom siebie zgubił. Czy tak zawsze było? Wczoraj? przed rokiem? przed dziesięciu laty?

Możem ja przebył jaką ciężką gorączkę, jaki tyfus, co mię zrabował z pamięci? Co teraz ze mnie będzie? Co ja z sobą pocznę? Półtora miliarda ludzi na świecie, a wszyscy wiedzą kim są i zapewno ich to nie dręczy, umieram z tęsknoty za rozwiązaniem tej zagadki, ja dręcę się w wątpieniu, jak robak wijący się, pod stopę uciekając.

A może ja umarłem? Może mam tylko wspomnienie życia? Może to już ja żyłem raz i wlokę za sobą łańcuch przypomnienia? Umarłem? Jakie to brzydkie wyobrażenie śmierci! Nic, nic — gdybyż jeszcze wiedzieć można, że naprawdę nic? A któż mi zaręczy, że nie coś? Że nie rozpocznę znów jakiej wędrowki na jednym z nieregularnych planetów? To możliwe do przypuszczenia, a jednak nie przypuszczana — to męka mąk.

Wracam do miasta. Wiozą mnie do Palazzo Barbensi. Nadchodzi znów jedna więcej noc. Jak ja drzę przed każdą nocą. Co to jest noc? Dlaczego wzrusza mnie ta cisza i ta ciemność. Ja się boję ciemności. Ja nie chcę ciemności. Światła! Światła! Porywam światło i biegnę do zwierciadła. Może ono mi powie, kto ja jestem? Patrzę. Człowiek — jak tylu innych — dwoje świecących oczu, twarz, twarz zapadła, wyraz odpychający. Gdybym dowiedzieć się mógł, co się za temi kryje oczyma? Jaką jest psyche tej kreatury? Kto to jest? Dlaczego się poczuwam sobą? Ja! Ale co za ja? Czego ja tu jestem, przecież ja skądś musiałem się wziąć do spełnienia jakiegoś celu, przecież na świecie bez celu i bez sensu nie istnieje nic! Kto mi powie, kim ja jestem i pocom tu przyszedł?

* * *

Skruchy pełen, przebaczenia żadny, wiary spragniony, nadzieją pokrzepiony leżę u progu świątyni i slysze odpowiedź boską: Tyś jeśt rozum zbuntowany, tyś jeśt wielki uczony świata, któremu nauka odebrała wiarę, a pycha rozum. Idź i czyni dobrze, wierz i kochaj.

Kocham i wierzę i już wiem, kim jestem.

W.

